1845. Nr 2. ROK 4.

Redaktor główny Hippolit Skimborowicz.

PRZEGLĄD NAUKOWY

WYJĄTEK Z DYJALOGU TURNIEJE.

PROLOG.

GĘSLARZ do PĄTNIKA.

Patrzcie w koło, co to znaczy?
Hełm stalowy zawieszony
Po nad bronią — snać tu będą
Jakieś boje —

PĄTNIK.

Nie inaczéj
Król z Królową jeno siędą
I dwór cały.

LIRNIK.

Więc trza stróny
Ponaciągać złote stróny
Mojéj lutni ulubionéj
Silnym ludziom na pochwałę,
Niech wyśpiéwa męże śmiałe
I niewiasty jak pobożne
I rycerstwo jak wielmożne.

PĄTNIK.

Niech wyśpiéwa, niech wydziwi
W czém godziwi a w czém krzywi.

LIRNIK.

Więc zważajmy.

PĄTNIK.

Naprzód skoczą,
I potężną walkę stoczą;
Łamać będą kopje twarde
Kruszyć miecze o łby harde,
A żelazo jako dzwony
Dzwonić będzie i skry ciskać,
Ostre miecze będą błyskać,
Póki z konia nie zrucony
Jeden, z bój wiodących, ludzi
Krwi gorącéj nie ostudzi
Na tym piasku rozciągniony.
Za to drugi weźmie dary,
Wieniec męstwa i puhary
Wyzłacane, z herbem króla,

I z rycerstwem się rozhula
I pić będą z czaszy złotéj
I wychwalać męstwo, cnoty
Rodowite tak rozliczne
Brane w spadku, więc dziedziczne.
Jak się spiją, rozweselą,
Strzelać będą w grosz nad głową
Przez pachołka w ręku miany —
Aż nie jeden łeb ustrzelą,
Aż nie jeden krwią oblany
Chłop upadnie — a domową
Dziatwę jego Pan zabierze
By znów strzelał jako zwierzę!
Zobaczemy —

LIRNIK.

Jak zobaczę, powędruję
Kędy chłopstwo przesiaduje
Do karczemki czy do chat,
A gdy dzieci mnie obsiędą
I piosneczki prosić będą
Ja pieśniami dzieciom rad!

Będę śpiéwał — aż parobcy
Młode dziéwki — małe chłopcy
Za to łzę mi nie zapłacą;
Łza u mnie za złoto stanie,
Dijamenty — rzewne łkanie.
Będę śpiéwał, bo jest za co!

Jeśli piosnka tak ich wzruszy
Że do głębi sięgnie duszy
Wtedy dla mnie będzie dość;
Jeśli w oczach ogień błyśnie,

Jeśli pięść żylastą ściśnie
Niewstrzymana złość!

Wtenczas wesół rzucę chatę
I znów w zamki, znów w bogate
Progi, pójdę sam
I nazbiéram krzywd i nędzy
I biédakom tych piéniędzy
Na pańszczyznę dam —

Lutni mojéj złote strόny!
Zaśpiéwajcie miłe tony
Cieszcie biedny słuch;
Niech po głowach myśli cieką,
Mary, widma niech się wleką
Każdy ton jak duch.

PĄTNIK.

Więc pójdziemy oba razem
Ty z pieśniami, ja z obrazem
I z różańcem poświęconym
I z szkaplerzem zakupionym,
Więc pójdziemy —

LIRNIK.

Więc pójdziemy.

PĄTNIK (*do widzów*)

Darujcie nam — Pany! panie!
Nieco nudne rozmawianie,
Wy uciechy widno chcecie
Więc się rychło naśmiejecie.
Wnet Król przyjdzie nieco stary
I Królowa piękna, młoda;
Będą tańce, gry, maszkary,
Turniejowa téż przygoda

Wielce śmieszna — ognie sztuczne
I wiwaty częste, huczne,
I djabły téż w końcu wpadną
Na uciechę taką ładną.

SPRAWA I.

Na zamku Krakowskim urządzony amfiteatr dla Króla i Dworu — dziedziniec wysypany piaskiem — na środku stoi wbita w ziemię kopja — na niéj oparta tarcza z herbem.

GIERMEK (*do Dudarza*).

Czyjeż są owe znaki
Kopija i tarcza srebrna,
Czyli to zbrojny jaki
Niemiecki?

DUDARZ.

Widzisz go (*pokazując ręką*) stoi tam —
Cały blachą odziany,
Czeladź jego służebna
Dudarze i dworzany,
Zdala Giermki i błazny—
Na koniu przed krużgankiem sam.
Straszliwą, wilczą głową
Hełm ozdobił żelazny;
A koń strusiemi pióry
To na dół, to do góry
Wiéwa wstrząsając łbem,
I piasek rwie podkową.

GIERMEK.

Rycerz ten ostalony
Kto jest, zalisz nie wiécie?

DUDARZ.

Jam tu nie urodzony;
Z Karpackich gór przychodzień

Cudów na bożym świecie
Jak dzisiaj, anim znał;
U nas tam jedno codzień,
Szum wody z modrych skał
Więcéj nic — lecz za nami
Stoi surmacz z trąbami
Ten lepiéj powié wam —

GIERMEK (*obracając się do Surmacza*)

Znacie tego Rycerza?

SURMACZ.

Mój Boże! a toć znam
Zowią go: Tarło Jan
Ze Szczekarzowic Pan.

GIERMEK 2gi.

Tarło, to silny człek —
Raz, jak drzewo uchwycił
Pięścią — sok z drzewa ciekł!
A raz rozżarty srodze
Na chłopa co mu w drodze
Trafem zabił sokoła,
Schwycił go, aż w nim jękło
I troje żeber pękło
Tak go dłońmi owinął dokoła.

GIERMEK 1szy.

Kto z nim na ostre goni
Biada mu — silnéj dłoni
Jak jego, trudno gdzie;
On niedźwiedzia powali,
Szyny żelaza gnie
Jak wosk.

DUDARZ.

I u naszych Górali
Bywają czasem tacy
Wielkiéj siły junacy
A przecież ich obali.

GIERMEK 2gi.

Nadchodzą jakieś pany
Odejdźmy sobie wbok.

DUDARZ.

Odejdźmy —

(odchodzą)

(wchodzi dwóch uzbrojonych — hełmy spuszczone — miecze u boku)

PIERWSZY.

Więc mówicie że nie będzie biédy,
Daj Boże aby moje słowa
Na wiatr poszły — aby u nas kiedy
Swojéj prawdy nie wzięły — Królowa
Za herb, w koronie węża ma
Wąż w koronie....

DRUGI.

Próżna trwoga
Panie Pietrze—a przez miłość Boga!
Czyż go żenić pragniecie z poganką
Albo z jaką, co gorsza, poddanką.

PIERWSZY.

Ona Króla nam w perzynę schowa
Z harfą w zamku z pieśnią białogłowa
A z miłością w sercu się rozsiędzie.

DRUGI.

Cóż stąd?

PIERWSZY.

A któż walczyć będzie?
Jak się serce w babie rozmiłuje
Przyjdą zbytki i kłótnie nieznane,
Wtedy stara zbrojo idź na ścianę!
Miecz się rdzawą plamą zafarbuje,
Stary łowiec kniejom nie uśmiechnie,
Sokół berło swe osiadłszy, zdechnie.
Moim słowom nie daj prawdy Boże.
Swięta panno! ale co nam Włochy!
Po Królowę jeździć gdzieś za morze —
W Włoskiéj ziemi naród wielce płochy —
W onym kraju ludzie nie pracują
Jeno leżą pod słońcem dzień cały,
Skwarne nieba letniego upały
Pod oliwném drzewem przesiadują.
To nie nasze życie co z kołyski
Ledwie wyjdziesz chwytaj za żelastwo
Na Tatarskie strzały a pociski
Koń i zbroja całe ci bogastwo!
To nie nasze życie ni obyczaj.

DRUGI.

Prawdę mówiąc, już ten stary zwyczaj
Wojowania, kością w gardle stoi,
Ano czas by trochę spocząć zbroi —
Wszak nie dzicy my ludzie Polacy
Że tak z roli na rolę jak ptacy
Przelatujem, goniąc się za Prusem
To Tatarem — a no téż z Bachusem
Nie zawadzi a z śmiéchem wesołem
Z czaszą w ręku za dębowym stołem!

BŁAZEN (*który od niejakiéj chwili stał przy nich*)

Moi drodzy panowie żelaźni
Zwierzcie mi się co was tak frasuje,
A trza wiedziéć że ja dziś panuję
I że dzisiaj błazen się nie zbłaźni.

Iszy do BŁAZNA.

Z drogi!

BŁAZEN.

Z drogi, z drogi! któż to wy jesteście?
Ja mówiłem że dziś równo w mieście,
Ale jeśli pijani będziecie
To upaść możecie.
Ha ha (*odchodzi*)

DRUGI.

Oto Błazen —
Czy przymówił w czém waszéj miłości!

GIERMEK (*wchodząc*)

Król przyzywa waszéj wielmożności
Na swe miejsca.

PIERWSZY

Idziemy — (*odchodzą*)

(*orszak postępuje — Rycerz zbliża się do zatkniętéj kopii, wyrywa ją z ziemi — w téj chwili wychodzi Herold*) —

HEROLD.

Na Waszę Królu miłościwy cześć,
Margrabia Kazimierz i Jan Toporczyk
Tarło, kopiję pragną wznieść
A skruszyć je — i to oświadczamy
Aby wiedziało rycerstwo i damy.

(*odchodzi*)

GIERMEK (*do Dudarza*)

Widziałeś jak w górę
Wzniósł czoło ponure
Margrabia na teatr pozierał?

DRUGI.

On patrzał w Królowę
Jak w cuda tęczowe,
Jak w obraz gdy będzie umierał.

PIERWSZY.

Bo i piękność nie lada!
Wzrok cudny, twarz blada
A ludziom łaskawie się śmieje.

GĘŚLARZ.

To prawda, tak śliczna!
Włos złoty, twarz mléczna
A z oczu dobroci blask wieje.

PIERWSZY.

Niech Bóg ją zachowa
Bo dobra Królowa.

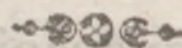
(Rozmowa w loży Królewskiéj.)

Lenartowicz



BALE PUBLICZNE.

Bale niedzielne i czwartkowe w ogródku pod firmą Lepianki (la chaumiére.)



Poprzedzającą moją relacyą pisałem w Popielcową Środę roku Pańskiego 1841. Nazajutrz, t: j: w Tłusty Czwartek, puściłem się leniwym omnibusem z okolic Bramy Śgo Dyonizego ku rogatcę *Góry Parnassu (barriére du Mont-Parnasse)* na południową stronę Sekwany. Wycieczka daleka — najmniéj mila drogi. Omnibus jak to zwykle bywa, to się zaludniał, to się wyludniał na przemiany. Wsiadali doń i panie i panowie, i *bluziarze* (*). Koło Odeanu rydwan publiczny zatrzymał się po raz trzydziesty może — i o to patrzcie! lekką nóżką skoczyła weń, panienka — a za nią matka, ciotka, ochmistrzyni, *ad libitum.* Skoczyła — i jakoś jasno się zrobiło w omnibusie — coś niby powietrze się odświéżyło — a powonienie mile załechtały jakieś aromata. Cóż to było?... Tak, fraszka! Piękna kobiéta. Tualeta — klękać: twarz — kibić, gracya — krzyżem

(*) Ten neologizm oznacza ludzi z pospólstwa, których ubiór narodowy jest bluza.

paść! Włosy czysto-blond — oczy czarne — a jak się uśmiéchnie — to wdzięków bez liku — a jak zagada, to dzwięczna arfa za nic. Mężczyzni ucichli — serce, im przeszło w oczy.

— I cóż ona tu może robić w tym przebrzydłym omnibusie, zagadnąłem po cichu mego przewodnika Gastona D.... z którym sąsiadowałem przez drzwi pod Nr. 51 przy ulicy *Bourbon-Ville-Neuve*.

— Co ona tu robi? powtórzył. Zwyczajnie — jedzie tam, dokąd my jedziemy — do *Lepianki*.

— Co za bluźnierstwo — *ona* — do Lepianki? Idę o zakład — sto przeciw jednemu.....

— Idzie o bilet wnijścia i lody, odparł z najzimniejszą krwią mój sąsiad.

Uśmiechnąłem się dwuznacznie i przyjąłem wyzwanie.

— Tymczasem omnibus się toczył. Kilka ulic wprost, w prawo, w lewo — aż nakoniec stój! i piękna nasza nieznajoma z swą matroną wysiadła.

— Zakład wygrany, szepnąłem do sąsiada.

Odpowiedział mi znaném przysłowiem francuzkiém. „*(Rira bien qui rira le dernier)*.“

I jechaliśmy daléj i daléj — prosto, kręto, kołem. Nakoniec w jakiejś tam alei, konduktor szarpnął za sznurek i omnibus stanął jak wryty.

Na dworze ciemno było — ale kolorowe lampiony wskazywały z daleka drogę, i sążnistéj długości szyld jaśniał, sławnym w Paryżu, głośnym niestety! w Europie napisem, *La Chaumière*.

U wchodu, błysnął kaszkiet żołnierza straży municypalnéj. Rzuciliśmy każden po franku do kassy; odebrano nam laski, wręczono bilety i weszliśmy do ogrodu.

Na parallelogrammie otoczonym wybujałemi wiązami, którego płaszczyzna ubita jak klepisko, szykują się pary do tańca. Wyprężone liny oddzielają je od reszty publiczności. Jestto wiejska sala balu. Wprost taneczników — orkiestra umieszczo-

na w eleganckim kiosku, nastraja swe instrumenta. Widzowie pół kolem czekają rozpoczęcia godów. Kto nie ciekawy, lub zapisał się do drugiego czy tam trzeciego tańca, ten siedzi *swój* ze *swoją* przy małych okrągłych stolikach, gawędzi, pije, pali, czy to sygaro, czy koperczaki. W linii równoległéj do klepiska, wznosi się pawiljon pysznie oświetlony i naśladujący namiot. Pełno tam mężczyzn, pełno kobiét, garsonów, butelek, karafek, srebrnych naczyń, w których błękitne płomienie rumu pałają, ziewając gorąco na przechodzących. Namiot ten jest miejscem odpoczynku zmordowanych par, co rzeźko wywijały dopiéro nogami na klepisku. Mężczyźni, a raczéj młokosy, (bo wąsów między niemi jak na lekarstwo) objąwszy rękami jak obręczą wysmukłe talje swych *partnerów*, przerzynają salę we wszystkich kierunkach, czatując na miejsca które przypadkiem zawakują. Osobliwsza poufałość panuje między temi parami—niby bracia, niby siostry — niby kochankowie, niby mężowie i żony — Bóg ich tam wié!

— Indyana! woła jakiś młodzik.

I panna, czy pani Indyana, posłuszna wezwaniu, rzuca wnet gruppę znajomych z któremi była w rozmowie, i jak kuropatewka leci do swego pana i władcy — kładzie mu rękę na ramieniu — a ten, widać że za cóś ją strofuje po cichu, bo biédaczka złożyła rączki jak do modlitwy i patrzy mu się prosto w oczy. Jegomość pogroziwszy mile palcem, obraca ją, zapina haftki u sukni, poprawia kołnierzyk, zwija i rozwija pukle koło swych *skazowników*. Jak widzicie, te drobne grzeczności są takiego rodzaju — że tylko mąż może do nich rościć prawo. Ale kiedyż bo to ten mąż ma dopiéro lat dziewiętnaście nie spełna, a ta żona siedmnaście; — poważne stadło małżeńskie — niéma co powiedziéć. Z pozoru takby sądził każdy bogobojny Chrześcianin — ale w istocie są to małżeństwa improwizowane, między młodemi aspirantami do dyplomu doktorskiego, między aplikantami, dependentami albo subjektami wielkich magazynów przemysłowych i gryzetkami.

Co to gryzetka? tyle razy już to wam opowiadano po francuzku — po polsku — nigdy.

Otóż malarze obyczajowi, a mianowicie romanso-pisarze francuzcy, traktują zwykle z pieszczotą medaljonik moralny gryzetki. W tym punkcie są jednostronni. Ale kiedy kopijując jéj urodę, wdzięki, powaby sadzą się na najdelikatniejsze dotknięcia pędzla — wtenczas mają słuszność; bo trudno wymarzyć coś harmonijnego, coś więcéj uroczego jak gryzetkę. W ogóle płeć piękna w Paryżu nie zasługuje na ten przymiotnik, wyjąwszy te córy marnotrawne dobrego miasta Paryża. Oryginał mamy właśnie pod ręką; proszę tylko zważać — stoi na klepisku, gotowa do tańca.

Główka okrągła, czarna jak krucze skrzydło — uczesana gładziuchno, balansuje na białéj szyi jak piękna *dalja* na swéj łodydzę. Spadek ramion mogący służyć za wzór Fidjaszowi, warkocz zbytkowego przepychu skręcony w kształcie rozety. Biust, nieskazitelnych artystycznych konturów, kibić którą by można ująć w bransoletkę otyłéj panny *Georges*. Ręce jak ulane, białości przezroczystéj—nóżka sarnia. Sądząc z jéj tualety była to biédna dziewczyna. Sukienka perkalikowa na 5 sous łokieć, trzewiczek sakowy, biała gładka pończoszka, chusteczka muślinowa haftowana, i ani śladu rękawiczek, wstążek, kolczyków, ani chusteczki batystowéj do nosa; ale za to 17 latek, parę podługowatych ogromnych oczu, blasku szafirów — ale za to nosek lekki, foremny, na wiatr sterczący, co się zda naigrawać z całego świata —nosek rasowy, prawem spadku nabyty—ale za to dołeczki na jagodach w bródcę, ale za to rumieniec brzoskwini, uśmiéch stały szczęścia, co błądzi na ustach krwistego ponsu i rząd biało emaljowanych ząbków cyrklem podzielonych! Taką ją widzę przed sobą—taką istotnie jest—i gdzie spojrzę to mi się nawija exemplarz podobnych plastycznych doskonałości. Ale też za to niestety! zajrzyj na opaczną stronę zwierciadła, w którém się jéj postać odbiła. Póki serce jeszcze świéżę

jak kwiatek, póki pragnie wonnéj rosy miłości i romansu, póty świat dla niéj w alkierzu, pod strychem, który podziela z tyranem swego serduszka. Majątek jéj w igle—balsam duszy w romansie i dramacie teatrów bulwarowych—zawsze wspólnie z *miłym*. Rozkosze życia—czwartki i niedziele w *Lepiance* przy boku miłego. Sypnij jéj pieniędzmi—weźmie je—wyśmieje cię i odda miłemu.

Ona jego gospodynią, praczką, kucharką, lokajem, krawcem, szewcem, a w chorobie piastunką nocną. Zdarzą się pieniądze w domu—wnet figuruje kuropatwa na stole—są i lody, ostrygi, i korek szampana strzeli czasem do sufitu. Niéma pieniędzy—obejdzie się—żyje mlékiem, sałatą i kęsem chleba; ale miłość i piosnka hoża osłodzą wszystko. Będąc satellitą moralnym swego kochanka i pana, będąc jego połyskiem intellektualnym—gryzetka myśli co on myśli—wierzy, w co on wierzy — a wiadomo jak myśli, w co wierzy młodzież paryzka, która rozumem pracuje dla pozyskania kątka w wielkiéj pracowni towarzystwa. Istota fantastyczna, paradoxalna! pełna ognia dla miłości, pełna ognia dla rozkoszy; w główce dowcipu bez miary—rozsądku ani jednéj uncyi. Kiedy dobrze czyni—nie wié o tém: że występna—nie pamięta: łakoma uciech światowych, jak syn skąpca po śmierci ojca. Dla niéj pieniądz nie jest celem — tylko środkiem. Splątana różową girlandą zmysłowości, zapomniała że Chrzest święty przyjęła—promień téż skruchy nigdy nie zajrzy do jéj duszy. Niebo jéj—Paryż, kościół *Lépianka*, Bóg—kochanek. Biédna siérota! opuszczona od prawodawcy, nawet od filantropów; na dalekim widnokręgu jéj życia są trzy stacye: dom rozpusty, szpital i dno Sekwanny!

Podobnego odbitku niéma w żadnym kraju, ale zwrotka jego u nas, w osobie, wielce pożytkowéj, wielce szacownéj *panny stołowéj*. Inny to zupełnie typ, choć ustronienie i sieroctwo w społeczeństwie toż samo. Ciekawa to paralella—sprobujmy ją nakreślić.

Panną stołowa polska, zwykle klejnotem szlacheckim poszczycić się może. W sukcessyi po rodzicach otrzymuje najczęściéj, jako upominek dawnéj świetności, ślubną obrączkę matki, albo srebrny zegarek *cybulą* zwany, z krwawnikiem ojcowskim, na którym herb przodków się lśni; znałem i taką, która w podziale familijnym, dostała kotarę adamaszkową z łóżka i cukierniczkę srebrną. Przywilejów swéj kasty strzeże pilnie. W gronie oficyalistów dworskich gra niepospolitą rolę. Ekonom, pisarz prowentowy, nadleśny, koniuszy, z uszanowaniem całują ją w rękę. Na mszę Świętą najregularniéj uczęszcza, spowiada się co kwartał, suszy często, zawsze na jakąś tam intencyę. Jest powiernicą małych sekrecików panienek, a czasem i ważnych tajemnic sercowych jejmości dobrodziejki.

Panicze prześladują ją swemi umizgami. Marzy całe życie o mężu-panie, to téż jedyną jéj namiętnością — kabała i Tłómacz Snów. Z cierpliwością pająka co czatuje na owad—oczekuje przybycia *losem wybranego*. Ta stoiczność doprowadza ją czasem do trzeciego krzyżyka, ale pierwszy sen różowy pokrzepi ją, dzięki Tłómaczowi Snów. Nie bez tego wszakże żeby kiedy niekiedy kombinacye chyromancyi pod przyjaźną konstellacyą rozpoczęte, nie urzeczywistniły się. Czy *jegomość* wdowcem zostanie, czy téż zerwie węzeł małżeński rozwodem, panna służąca jubileusz w serduszku odprawia. A wieleż to rodzin obywatelskich w naszym kraju, w których intronizowane zostały na Panie domu, panny służące. Gryzetka kocha bez myśli wstecznéj, żarliwie—walecznie—namiętnie; zdaje się jakby zerwała przepaskę z oczów Kupidyna i dobrowolnie sama siebie ociemniła. Nasza panna służąca kocha czule, romansowo—wszakże sielanki Karpińskiego nóci po księżycu, ale kocha nieinaczéj jak z perspektywą w oku. W czułych chwilach upojeń miłośnych, kiedy żywioł egoizmu zda się być paraliżem tknięty, pyta się kochanka: „A ożenisz się? Narzeczonego — a „ślub kiedy?”

Jedyny sposób wyżywienia gryzetki igła, chociaż nikt na

świecie nie potrafi nią tak władać jak gryzetka. Igła mniéj więcéj zręczna, nadaje pannie służącéj pewną *kosyderacyę* we dworze, za dworem w całéj okolicy; igła nakoniec, toruje jéj drogę do zaszczytu poufałości panienek i jejmości; to też pierwszy palec u lewéj ręki zawsze niemiłosiernie skłóty—rzekłbyś że powleczony jaszczurem. Jeśli dodamy do tego długiego szeregu zalet, że jest przystojną, hożą, udatną, czasem piękną, i że nie brakuje jéj tak jak wszystkim naszym białogłowom, tego misternego przymiotu którego w braku słowa nazwę *polskością*, to wątpię żeby mi kto fałsz zarzucił.

Zaprosiłem czytelnika do ogródka na przedmieściu, a ztamtąd *nolens volens* jedném machnięciem skrzydła, w nasze strony, na prowincye. Dawnemi czasy Asmodeusz to samo zwykł czynić z don *Kleofasem;* dla czegóżby mnie nie wolno było? to też pogościwszy chwilkę między swojemi, wracam spiesznie do Paryża, pod rogatki Mont-Parnasse, do Lepianki. A tam orkiestra tnie od ucha Szahiuta. Maszkarę tę wszędzie spotkasz, gdzie tylko młodzież tłumnie się zbiera. Na balu Wielkiéj Opery kryła się wstydliwie po kątach, tutaj urąga się ze wszystkich. „Przesąd, dawno już tylko echem! wykrzykuje—wiek XIX w połowie—jestem córą jego! twarz mi pała od pożądliwości—patrzcie na mnie! W kąt świętoszki!—naprzód młodzi, wyzwoleńcy wieku!”

I rzeczywiście zasłonę z siebie zdarła, zgniotła, podeptała i bezwstydnie ludziom w oczy się patrzy—ale kto jéj w lice spojrzy, ten spluje, odwróci się, ucieknie.

Wykształcone współczesne mowy ludów uposażonych własną literaturą, są tak giętkie, tak posłuszne jak wosk w modelowaniu. Nie dość tego—obfitują także w tysiączne fortele w rozmaite elipsy w subtelności niezliczone. Takiemi są istotnie, ale tylko w obrotach myśli, w szrankach argumentu; wszakże karność ta rozprzęża się, skoro piszący imie się pędzla i palety malarza—bo w pierwszym przypadku, czytelnik jest słuchacznm—w drugim zaś widzem, a kto patrzy na twór

płatny, ten chce objąć całość jego, dojrzeć szczegół, dotknąć się palcem; ztąd obowiązkiem piszącego być artystą z pędzlem, z rylcem, z dłutem w ręku—a pomocniczém narzędziem tych trzech narzędzi -- niestety! jest słowo tylko! Gdzie piękne, harmonijne kształty, tam autor zalotnie, miłośnie, dotyka się swego przedmiotu, ale gdzie ułomność, brzydota i nagość, tam lękliwie, z wstrętem, jąkając się, używa prawa metafory. Powiedzą mi może: „Cóż za konieczność wystawiać na widok publiczny obraz, który, sądząc z tego wstępu usprawiedliwiającego się, musi być rażącéj nieprzystojności?” Zgadliście--jest nim. Ale ponieważ przedstawia warunki wyłącznego dziwołęztwa w swym rodzaju, musimy go więc oprawić w ramy téj książki, jako przedmiot godny najwyższéj uwagi; bo w życiu każdego wielkiego narodu, wszystko jest nauczające—i grom gniewu jego, i uniesienia szlachetne i rozwięzłość jego, i wesołość i *pajacowanie*, słowem i co płaczu i co śmiechu i co uwielbienia godne—wszystko to jest zdobyczą prawnie nabytą równie dla historyka-moralisty wyższego polotu, jak i dla drobnego badacza; z tą różnicą że pierwszy objąwszy rzecz syntentycznie, gromadzi swe spostrzeżenia na szale wagi filozoficznéj, drugi zaś zbiera po cząstce gruz, cement i wszelki materyał do wznoszącego się, lub wznieść się mającego gmachu filozoficznego. Z wielorakich więc powodów zdaje się nam, że nie zboczymy wiele od skromnego powołania podrzędnego czeladnika, zdejmując z natury giest bezwstydny młodzieży paryzkiéj noszący nazwę *Szahiuta*.

Zkąd się on wziął? kto jego wynalazcą? nie wiemy; którego roku, miesiąca i dnia wkradł się w zabawy publiczne Paryżanów? nie wiemy. Przed miesiącem Lipcem roku 1830 nie było go—to wiemy. Nie jeden z was może czytał w dziennikach zagranicznych, w żartobliwych romansach francuzkich, w sprawozdaniach policyi poprawczéj o Szahiucie—i tu i tam i owdzie były wzmianki ogólne, skargi zawsze, ale monografii tego tańca nie było. Nikt się nie poważył nadać mu jawność

uroczystą! Otóż ja to uczynię. Nic łatwiejszego! Szabiut w téj chwili wybrykuje przedemną. Wszystko widać jak na dłoni, choć xiężyc jeszcze nie wszedł — bo w koło klepiska kagańce na słupach w wielkich szklannych dzwonach I pary gotowe do tańca, i muzyka brzmi. Uwaga! obroty już się rozpoczęły.

W tym *en avant deux* co linią dyagonalną przecina czworobok tancerzy, jeszcze świętokradztwa kontradansu nie spostrzegamy—tylko spojrzenia tancerza, minki które stroi, zdradzają jakieś zamiary lubieżności, na które *partnerka* jego odpowiada filuterskim uśmiechem na znak wzajemnego porozumienia—a ta tancerka!... wszak to nie kto inny jak żywy portret gryzetki, którąśmy urozmaicili poprzedzającą stronicę. Daléj figury tańca coraz żwawiéj, coraz bystrzéj rysują się na klepisku, i chociaż ruchy coraz więcéj dwuznaczne, p zecież *corpus delicti* nie zdaje mi się jeszcze tak wydatny, aby uformować z tego formalne zaskarzenie. Ale rzuciwszy spojrzenie roztargnione w koło siebie, spostrzegam dwóch żołnierzy municypalnych. Ich obecność wytłómaczyła mi pozorną wstrzemięźliwość grupp. Zlustrowawszy chwilkę okiem urzędowym ruch, tańca, rozmaite jego obroty i nie dostrzegając gwałtu przeciw obyczajności, krokiem poważnym oddalili się. Aż tu ledwie municypalni z miejsca—Szabiut na miejsce.

Teraz widzę go z blizka, przypatruję mu się oko w oko, śledzę go w najdrobniejszych jego krojach. O! mam go teraz—mam pod piórem! Proszę patrzéć! wysunął się szybko tancerz z kąta czworoboku, wysunęła się tancerka, i dążą jeden ku drugiemu......

Nie—dość tego, dość—ani kroku naprzód! Z serca w twarz—wstyd mi buchnął. Wstydliwość w mężczyznie? powiedzą.... O tak! bo choć uczucie to mocno uśpione w mężczyznie w gronie samych mężczyzn—budzi się z nienacka w obecności, nie tylko kilku, ale jednéj nawet kobiéty. Spojrzym jednak — cóż tam daléj? Może to tylko psota jakiego młodego waryata?... Gdzie tam! Coraz gorzéj! Mnożą się figury, postawy, giesta, ruchy i

pożar najochydniéjszego cynizmu, objął całe klepisko, i płyn ognisty wlał się w takty muzyki, i w chwili kiedy żywioł bydlęcy zdawał się brać zupełnie górę nad żywiołem człowieczym, Mr L'Huiller gospodarz gościnnéj Lepianki, poważny 50-letni jegomość, z miną Katona Starszego, przebiegał szeregi i głosem imponującym wołał:

— Panie—panowie! Skromność, przyzwoitość, dobry ton!— Nie kompromitujcie mego zakładu!

Był to głos w pustyni, ma się rozumiéć; staremu grzesznikowi szło o uratowanie pozorów, nie o rzecz.—Potém wystąpiły dwie gryzetki z szeregu, pogłaskały wdzięcznie gospodarza po policzkach, jedna z prawéj druga z lewéj strony, i arcy pobłażający ten natręt oddalił się niby mrucząc—a tymczasem Szahiut pienił się jak opętany. Widzowie z załamanemi rękoma rozmawiając o potocznych rzeczach, obojętnie przypatrywali się widowisku—tylko kiedy niekiedy śmiech przytłumioy wyrywał się z ich grona; a to za każdém nowém skalaniem wstydliwości. Często się to zdarzało, bo te młokosy co się przed nami uwijali, choć młokosy, ale wprawni improwizatorowie rozpusty. W tym parterze pod gołém niebem, łatwo było rzec, ukazując palcem: „Ten Francuz—ten cudzoziemiec." Piérwszy miał widok widza cu tylko patrzy—drugi co czuje; tu podziwienie w oczach—tam roztargnienie.

— Cóż dziwnego? rzekł do mnie mój sąsiad i przewodnik kiedym mu tę uwagę uczynił—nawyknienie z czasem wszystko przytępia i zmysły i uczucia.

— Nie powinna jednak ta prawda być absolutną, odparłem, bo patrz—proszę—patrz! Wielki Boże cóż to się dzieje?

— Zdrożności, odpowiedział poważnie sąsiad.

— O tak, zdrożności!

Kłębek Szahiuta do końca wysnuto. Przyspieszenie taktu w orkiestrze zwiastowało koniec. Pary się zmieszały w ostatnim wysileniu—gorąco ziewnął wszeteczny taniec—i... skonał. Jeszcze dźwięk muzyki pływał w powietrzu, a grupp na klepi-

sku już nie było—prysły po ogrodzie—i gdzieś znikły w ciemnościach nocy.

Obiecać—a dotrzymać, mówi Francuz—to dwa. Tak też i ze mną. Obiecałem szczegół — dałem ogół. Bo też niepodobieństwo! zamknęlibyście książkę i z pogardą w kąt.

Ta obawa panuje od początku rozdziału, a kto wié czy i do końca nie potrwa. Bądź co bądź, cel nieco chybiony, bo chociaż o choregraficznéj giestykulacyi Szahiuta macie pojęcie, nie możecie sobie wyobrazić do jakiego stopnia szczegółowa gra jego fizyognomji jest bezecna! Owoż co poetyczna wyobraźnia wielkiego Goetego wykonała w nieśmiertelnéj Orgii na górze Blocksbergu z larwami piekielnemi, to samo naśladowano w Lepiance. Mówią że pochodzenie Szahiuta jest z jakiegoś Archipelagu Spokojnego Morza—wierzę temu. Wielki Coock nawet coś wspomina o okropnych tańcach dzikich wyspiarzy tych dalekich stref jeograficznych.

My z urzędu byliśmy w Lepiance - bo inaczéj po co? wszystko co się tam widzi, ckliwość wzbudza i smutek rodzi, kiedy się wspomni że młodzież która tam uczęszcza, chociaż tylko jest ułamkiem narodu, ściąga wszelako naganę na ogół, za to, że będąc codziennym świadkiem gorącego uczynku, zostaje biernym lub pobłażającym widzem złego. Tém więcéj obojętność ta nie jest do przebaczenia, ponieważ przestępcy należą do wyborowéj klassy młodzieży francuzkiéj, która jest *szkółką* umysłowości, mająca zasilać co raz świéżemi szczepy rozmaite gałęzie drzewa społecznego; i tak pysznie kwitnie ta młodzież! trzy potęgi *widnieją* na niéj — męzkość, rozum, odwaga;— szczytne obietnice! Ale cóż, kiedy w tém wszystkiém niéma śladu bojaźni Boga! Na polu badań naukowych,—umiejętności bez końca — dumie ludzkiéj niéma końca — a pokory chrześciańskiéj nigdzie!

— Akt się skończył, rzekłem do mego sąsiada; chodźmy przepędzić *entre-acte* w namiocie. A propos! winieneś mi porcyę lodów—funduj—bo inaczéj kładę areszt na waszeci.

— Chwilkę sąsiedzie. Mój interes nie jest jeszcze tak zły jak ci się wydaje. Spojrzyj na tę damę co odwięzuje kapelusz.....

— Widzę i oddaje go swem kawalerowi wraz z szalem. Czekaj no—dla Boga! wszak to nasza piękna *Pamella* z omnibusu.

— W swéj własnéj osobie.

— Idzie butelka szampana, że nie będzie *szahiutować*.

— Ja na pewno nigdy nie gram. Patrzaj!

— Prawda!... Stoi już gotowa do tańca. Ah mój Boże i kiedy to młode, śliczne stworzenie, miało czas zostać skończoną grzesznicą?

— Nic tak prędko nie dojrzewa w kobiecie jak żywioł złego, odpowiedział sąsiad.

Ta Sylfida czwartkowych balików Lepianki, popsuła mi do reszty humor. Dość już miałem erotycznych widowisk przy blasku lamp. Weszliśmy do namiotu. Czas nam zeszedł na argumentowaniu w pośród wrzawy, dymu i wyziewów spirytusowych. Ostatni akord orkiestry oznajmił nam koniec drugiego Aktu Szahiuta, i niebawnie weszła nasza *nieznajoma* do namiotu, otoczona gronem młodzieży. Oko za mgłą, pierś rozkołysana tańcem, jagody w płomieniach. Niewymownie piękną była! Z macierzyńską troskliwością ubiegali się jéj wielbiciele o pierwszeństwo w usłużeniu. Ten rzucił szal na ramiona, tamten podstawił stołeczek pod nogi, inny znowu wachlarz rozpostarł i powiewem sztucznego zefiru chłodził twarzyczkę— tylko Roland jéj serca, który z nią odbył turniéj w cyrku Szahiuta, z dumą przypatrywał się trzymając dłoń swéj Angieliki w swéj dłoni. Podano lody - potém kielich szampana jeden, drugi i trzeci — nakoniec ichmościanka zażądała *papiros*, i z wprawą oficera od huzarów kreśliła dymem kółka w powietrzu.

Kiedy to się działo, nadszedł jakiś brodaty jegomość: mina niepodległa, słowo głośne, ruch teatralny. Z prawéj i lewéj

strony opierało się na ręku jego, dwóch młodzieniaszków — widocznie bracia; — starszy lat piętnaście, młodszy trzynaście. Kapelusiki zuchowato włożone na bakier — spojrzenie zalotne, i w całém ułożeniu pretensya do dojrzałości męzkiéj, a najdobitniejszym dowodem tego – sygaro w ustach. I Mentor i Telemak, wszystko to podaje dłoń przyjacielską hołdownikom nadobnéj Frynei paryzkiéj, i dzieci i mężczyźni wszyscy się *tykają* między sobą. Śmiészne, nie nagany, ale rózgi godne było to małpowanie. Nie dość na tém, nasze malcy wdali się w rozmowę. Słuchałem pilnie, uważnie.... i cóż mam powiedzieć? Oto zdumiałem! Materya do ducha miała się jak 1:3. Dowcip iskrzył się w ich rozmowie. Na przycinki – odcinki bystre; wysłowienie daj Boże każdemu—czasem i spostrzeżenia należycie strawione, rzucone były w tok rozmowy—a rozmowa szła o grze, panny *Rachel.*

Brodaty jegomość tryumfował. Dowiedziałem się późniéj że był guwernerem tych dzieci!!

— Ale po co ten bandyta pedagog przyprowadził swych wychowańców do Lepianki? spytałem mego sąsiada.

— Musiał piérwéj zaciągnąć rady u przewielebnego doktora Hanemana, którego system leczenia jak wiadomo spoczywa na niezbitym axiomacie, *Similis, simili — gaudet.*

Podniosło się nakoniec towarzystwo i wyszło—i my wyszli. Dążyli nie wiém dokąd po krętych ścieżkach ogrodu—i my za niémi. W pewnéj odległości słyszymy turkot jakby grzmotów nieprawdziwych, bo xiężyc lał już potoki srébra na gałęzie. Cóż to było? Miejsce poświęcone nowym wrażeniom—bo Szabiuta im mało było. Świéże pokolenie francuzkie nie atletyczne—daleko im do tego—ale niezmordowane jak głazy kiedy idzie o wydatek sił fizycznych w drodze używania materjalnego.

Miejsce o którym mowa, oświetlone licznemi kagańcami, rzucało z daleka czerwonawą łonę. Wznosiły się tam tak nazwane *Góry Rossyjskie,* ozdobione na samym szczycie dwoma pięknemi kioskami. Wzburzona krew Szabiutem i libacyami

w namiocie, jeszcze snać nie ułagodzona u 17sto-letniéj naszéj Odaliski, a już czém prędzéj zażądała świéżych wichrów zmysłowych. Towarzystwo uszykowało się u stóp sztucznych gór— a piękna nieznajoma z swym *znajomym*. jednym tchem do kiosku; usadowili się oboje w małym wózeczku, i obchwiciwszy szczelnie jedno drugie, z szybkością błyskawicy puścili się na dół po krętéj pochyłości góry, wywijając chustkami na znak radości, i pięćkroć powtórzyli tę podróż nadpowietrzną.

Po téj wyprawie nasze grono wietrzników udało się napowrót do sali tańca.

Okoliczne zegary wybiły drugą. Czas było w podróż. Dwie godziny pochodu to nie przelewki, i pochodu nie zawsze bezpiecznego—bo w okolicach rogatki Mont-Parnasse, wypróżniciel kieszeń, wyzwoleniec galer, lub zahartowany jaki opryszek, często puginałem połechczą żebra przechodnia. W skutek więc tych motywów—nogi za pas, i z trzciną uzbrojoną w potężną ołowianę gałkę, ruszyłem w drogę w towarzystwie mego sąsiada.

Żeśmy w téj podróży nie milczeli, każdy się tego domyśli. Alboż nie było o czem pogawędzić? Sąsiad mój widział więcéj, wiedział lepiéj odemnie, co widzenia było godne, co śledzenia było warte—ja byłem gościem w olbrzymiéj gospodzie Paryżu, on był, że tak się wyrażę, przyjacielem domu.

Przechodząc przez długą, wązką i brudną ulicę Śgo Jakóba, rzekł do mnie.

— „Szkoda że wędrujemy o porze, w któréj ludzie cywilizowani zwykli najśmaczniéj zasypiać;— gdyby nie to, wprowadziłbym cię do jednego z moich przyjaciół, który wgramoliwszy się na piąte piętro, oto w téj kamienicy (i wskazał mi ją palcem) przepędza ranki na filozoficzném szpiegowaniu życia zaprogowego gryzetek, wraz z ich ulubieńcami. Okolica, przez którą przechodzimy, nosi nazwę *kraju łacińskiego* (pays Latin). Tam się wznoszą wielkie Laboratorya nauki. Medycyna i Prawnictwo wabią do siebie wielką massę młodzieży po-

nieważ mało jest powołań w świecie, w których perspcktywy zysku byłyby tak szerokie jak w powołaniach lekarza i prawnika, zwłaszcza tego ostatniego, któren od rewocyi Lipcowéj zmonopolizował sobie połowę ławek w Izbie Prawodawczéj. Otoż cała ulica Śgo Jakóba jest zaludniona temi młodemi pretendentami.

— Twój przyjaciel samotnik musi często odwiedzać poddasze tych panów?

— Gdzie tam! prowadzi życie ślimacze — to uczony, zaskorupił się u siebie i rzadko można go wywabić z domu.

— A badania jego jakże się odbywają?

— Z okna w okno. Te młokosy Don Żuany, żyją jawnie w obliczu słońca. Z rana wszystkie okna na roscież, i kto chce i kto nie chce, czy to z dołu czy z góry, może ich widzić siedzących w oknie ze swemi gosposiami w rannym negliżu, ale w negliżu tak rannym, że zdaje się być pofałdowany jeszcze z nocy. Mój przyjaciel z piątego piętra uzbroiwszy swe oczy doskonałemi *bliźniakami* od *Chevaliégo* (1), plądruje wzrokiem po stancyi tych nieprawnych par małżeńskich, a wtenczas wszystko widzi i na czém czas trawią, i jak się weselą i jak się smucą i jak kłócą. Widzi *np.* szkielet ludzki co stoi w kącie ustrojony w elegancki kapelusik pani domu, widzi czaszkę w czepeczku tiulowym, co wyszczerza zęby na szafie, widzi maski, rapiry, pistolety, fajki, kapciuszek: i symetrycznie porozwieszane na ścianie, w sąsiedztwie i dobréj komitywie, z gorsetem, burnusem, spódniczką włosianą, gryzetki — i co się tam dzieje, co się tam dzieje!

Po tym wykrzykniku opowiedział mi sąsiad co się tam dzieje — ale — nieopowiem wam tego. Na domiar wszystkiego dodam nawiasem, że mieszkania, których drzwi swém opowiadaniem uchylił mi sąsiad, zawierają często kilka Piladów i

---

(1) Sławny optyk.

Orestów wraz z towarzyszkami swemi. Pokój jeden, a w nim, często *trzy pary lokatorów!!* Do mnie należało wskazać ten fakt — drogę zaś do wniosków zostawiam czytelnikowi.

I tak rozmawiając stanęliśmy bez szwanku u wrot naszego pomieszkania, o téj godzinie świtu, w któréj rozespany Paryż podnosi szlagbany swych pięćdziesięciu siedmiu rogatek, dla wpuszczenia przez nie, rzeki mleka, góry masła i serów, całe ogrody warzywa i owoców, z okolicznych włości, miast i miasteczek, folwarków, a to wszystko jedynie na umorzenie pierwszego robaka głodu — zrozumialéj mówiąc, na śniadanko popsutego dziecięcia, co ma 1,000,000 buź!

Kortyna zapadła — trzy akta domowego dramatu Paryża odegrane. Najrozsądniéj podobno byłoby dla autora, skryć się teraz między kulisy, póki go boleśnie nie bodnie ostry gwizd czytelnika, za zuchwałość jaką okazał, zapraszając go wstępnym afiszem na widowisko, gdzie umęczony był wzrok, umęczony słuch, gdzie smętne było serce, gdzie rozum tylko z zimną powagą kontrollować wszystko mógł. Otóż kontrollować naszym obowiązkiem, i dla tego też nie zejdziem ze sceny, póki go sumiennie nie wypełnim.

Co należy — czyń!
Złe wyniknie — giń!

Dotąd byliśmy na trzech widowiskach—pierwsze przy ulicy Lepelletier,—drugie u rogatek la Villette—trzecie przy rogatkach Mont-Parnasse. Nieruchomość nie była nigdy wadą autora téj książki. Dopiéro tu, dopiéro tam, dopiéro siam. Inaczéj nie może, i choćby i mógł, to nie umié. Trzyma obustronne zwierciadło w ręku, i nie jego wina jeśli przy raptownych zwrotach lustra, namiętna gra fizyognomii Paryża częściéj się ukaże w zwierciedle, niżeli uśmiech łagodny pochodzący z cichych i samotnych radości duszy i sumienia. Prawda jest jedna; — z nią niema kompromissu. Kiedy się do niéj udajemy dla wymiaru sprawiedliwości, to wnet staje, i świadczy bez

pobłażania oko w oko. Niech ci spuszczą oczy, których ona oskarza. Z resztą można zapatrywać się na czynności ludzkie dwojako: przez oczywistość czynu i przez równoważenie umysłem. Cośmy już widzieli temu przeczyć niepodobna. Dziennikarstwo francuzkie oznajmia to Europie głosem donośnym Herolda — co się zaś tyczy ocenienia rzeczy widzianych siłą rozumowania, zkąd zwykle błyska światło loiczne, to rzecz ta jest sporna. Spostrzeżenia więc nad młodzieżą paryzką, które podaje pod zmysł przenikliwości czytelnika, mogą być i mylne i niemylne. Nic niéma tak płasko, tak pospolicie próżnego, jak nieugiętość sądu w przedmiotach, które są za obrębem niezmienności matematycznéj. Każda myśl objawiona drukiem, powinnaby ulegać temu wyrokowi.

Autor sądzi więc, że publiczność tańcząca na balu Wielkiéj Opery i w Lepiance, jestto hurt składający się głównie z subiektów sklepowych, z dependentów, aplikantów, uczniów medycyny i młodzików, których paragraf 488 Kodexu Cywilnego niedawnemi czasy wyzwolił, — bogaci, dzięki prawu i swym majątkom, ale zawsze biedni, zawsze sieroty, bo im rady brak. Wyznać trzeba, że ludność to groźna, w otwartéj zawsze wojnie z sumieniem publiczném, tą policyą moralną społeczeństw. Sprobujmy wejrzéć choć z ukosa w prawdopodobne przyczyny, które spowodowały to bałwochwalcze uwielbienie materyi, tę epidemią cynizmu między młodemi hulakami, których kroki śledzim tak długo, tak uporczywie, a w końcu wrócimy do gminu, co to mi mączny chrzest sprawił za rogatkami *de la Villete.* Zacznę od pierwszych, skończę na ostatnich.

Czy to już letni, czy jeszcze nie, każdy z młodzi paryzkiéj, zrywał kiedyś owoc nauki, pożywał go, trawił, a tém samém wykonywał od dzieciństwa rozmaite obroty na otwartém polu rozumowania — ale nie trzeba stawić w równi jak to tam zwykli czynić, rozumowania dziecinnego z tą niezmordowaną ciekawością myśli, właściwą wiekowi dojrzałemu, w którym poznanie *złego* i *dobrego* jest już rzeczą odsądzoną, — aliści

rozumowanie młodzieńca winno być spokojne, łagodne, kierowane ku widnokręgom pogodnych maxym, częściéj z duszy płynących niż z głowy. Pielęgnując w taki sposób młodzież, można być pewnym, że nie zrodzi się w niéj przed czasem duch inkwizycyjny filozoficznego szperania w krainie zbytków abstrakcyjnych — a w téj kwestyi jeśli się nie mylę, myśl pedagogiczna we Francyi, gruntuje dzieło swoje na zimnym głazie Racionalizmu, i to w porze nagłéj, rzutnéj, wegietacyi władz umysłowych, nie użyczywszy wprzód sercu, ani uczucia miłości ogólnéj — głowie, ani promyka ideału. Jeżeli zawcześnie powierzysz w ręce młodzieńca kierownicę Racyonalizmu i nic więcéj jak tę kierownicę — cóż się zostanie dla uczucia? Cóż będzie późniéj kiedy mu się zdarzy spotkać zadanie metafizczne? weźmie je na wagę racyonalnego rozumowania, i jak skutek mu okaże hypotezę — skończy niezawodnie na niedowiarstwie. Mojém zdaniem normalne wychowanie dziecka, powinno być oparte na głównych dwóch filarach wszelkiéj nauki i mądrości — na Bogu i Jego tworach. W tych dwóch wyrazach spotka uczeń Miłość i Potęgę — dwa szczepy moralne, które zrodzą Łagodność i Pokorę. Po takowém dopiéro należytém zasileniu dziecinnych charakterów, uczący powinien podać uczniowi kordjał poczerpnięty z źródła, na dnie którego, drzemie potęga analityczna człowieka Rozum!

Wskazawszy rodowe przyczyny rozprzężenia moralnego, młodzieży paryzkiéj — koléj teraz na inne niemniéj ważne, — są one właściwe że tak powiem miejscowościom topograficznym. Wieki uczyniły Paryż najszlachetniejszym organem wychowania uniwersyteckiego całéj Francyi, równie też i punktem atrakcyjnym życia politycznego. Młodzież giermańska *np.* która poświęca się wielkim ćwiczeniom Myśli, ma wolność wyboru; obiera sobie to, lub owe miasto uniwersyteckie, które ogółem wzięte są karłami w porównaniu z Paryżem, a tém samém mniéj więcéj niewinne pod względem obyczajów. Ale Paryż, Paryż! to Ocean! kto na powierzchnią niego wpłynie, — a da

nurka — zniknie. W Paryżu masz pod ręką dzienniki, które bluźnią przeciw Bogu, ludziom i zasadom, masz stosy książek, które czarownie kłamią — masz teatra, gdzie występek wieńczą wawrzynem — masz otwarte sale Sądów kryminalnych, gdzie romansowym zbrodniom pobłażają i gdzie wielcy niegodziwcy towarzyscy teatralnie występują, jako kandydaci znakomitości historycznéj. Słowem pozwól tylko sumieniu wzdrzemać chwilkę — a wnet sposobności do zepsucia tłumnie cię otoczą. Gdyby mi się kto spytał: dla czego się tak dzieje a nie inaczéj?.... to odpowiedzi na to zapytanie szukałbym daleko — głęboko — na dnie źródeł moralnych samego Ojcostwa.

Co francuzcy filozowie z połowy XVIII wieku przekazali testamentem początkowi XIX, tém się ten ostatni zasilał. Na téj nieskończonéj uczcie sceptycyzmu, Francya chciwie piła i pijąc, poczęła niniejsze pokolenie; — dla tego też słabe ono jest ciałem, choć silne rozumem — słabe duchem, bo wyobrażenia jego noszą na sobie wycisk schorzałości dziedzicznéj, tego nieładu dogmatów, tego ciągłego przeczenia, które spłodziły we wszystkich klassach społeczeństwa gallońskiego, religią człowieka *zewnętrznego* z wielkiém poszkodowaniem religii człowieka *wewnętrznego*. To co mówię — prawda. Francya spowiada się dzień w dzień przed Europą; prawdę tę spotkasz w rodzinie, w społeczeństwie, w literaturze — przed szrankami Prawa, w rozprawach Izb nawet. Prawda ta objawia się wszędzie bez namysłu — bo jest drugą naturą, jak przyzwyczajenie materyalne. W rodzinie — ojciec w obecności swych dzieci puszcza w obieg zasady, myśli, aforyzma, podług niego prawomocne, bo w prostéj linii pochodzą od Bayl'a i apostołów jego z XVIII wieku; — w społeczeństwie, z tych samych przyczyn złe się głosi i lęgnie — w Parlamencie nie szczędzą tysiącami frazesów, kiedy rzecz idzie o materyą — a skąpią, kiedy idzie o uczucie. Żeby autor *Jocelyn'a* (1) tam

(1) P. de Lamurtine.

nie gościł — mowa duszy zapomnianąby była od dawna. Pierwszy warunek być zdrowym na ciele — czystość powietrza — pierwszy warunek być zdrowym na duszy — jednostajność wiary Ogółu w prawość moralną. Wiara ta zachwiana, jakeśmy to widzieli. Odszczepienia liczne, zadawniałe — młodzież najchętniéj do nich lgnie. Czy jéj w tém wina? Nie.

Też same zboczenia, te same wady, ale z zgubniejszém jeszcze następstwem, niosą zepsucie i zniszczenie między inną kategoryę walczącéj młodzieży o miejsce i stan w społeczeństwie — a mianowicie — między młodych wychowańców Handlu. Rubryki ksiąg policyi 50,000 ich okazują! Piekielny to hufiec! Połączywszy ich z rotą co zaludnia *Kraj Łaciński* (le pais latin) z rotą dependentów, aplikantów i z młodzieżą nie zależną już od nikogo — armja ta (daj jéj tylko wolę) rozpoczęłaby| niebawnie wyprawę wywłaszczenia przeciw mężom, matkom, ciotkom, opiekunom, w celu powtórzenia nowéj sceny Porwania Sabinek.

Subjekt wielkich zakładów handlowych w Paryżu, używa życia tak jakby się urodził wczoraj, a miał umrzeć dzisiaj; — jestto zakorzeniały pokłonnik rozpusty — w tym względzie przeszedł nawet podstrechowych lokatorów z ulicy Śgo Jakóba — bo ci, chociaż należycie zepsuci, myślą i działają czasem szlachetnie, dzielnie, poetycznie — ponieważ znajdują się codziennie przy studni niewyczerpanych prawd, a niekiedy i inspiracyi — subjekt zaś obiega ciągle pewne koło kłamstwa karmiąc się płaskim egoizmem.

Kto dziś w Paryżu chce dużo sprzedać — musi wiele udawać. Dawniéj konkurrencya niemiała charakteru tak wojowniczego jak dzisiaj; — dawniéj dość było być uczciwym, dla pozyskania słynności — dziś trzeba sztuki, wprawy, fortelów kształtnéj gadatliwości magazynierskiéj (1). W piérwszych

---

(*) Cel każdej książki, chybiony, kiedy u mety nie widać zamiaru moralnego. Wolno autorowi nie mieć talentu w wykonaniu

periodach wtajemiczenia młodego adepta handlowego w arkan bezprawiów kramarskich, powtarzają mu ciągle: „Kupujący jest ofiarą — przedający ofiarnikiem.“ W skutek więc téj arcychwalebnéj maxymy — nakaż sumieniu milczenie — pochlebiaj

---

myśli — ale nie wolno mu nie mieć wytkniętéj drogi. Zamiar zaś niniejszéj książki oczywisty: dać czytelnikowi sposobność dotykania się czasami pulsu duchowego Paryża, dla ocenienia stanu jego zdrowia — a po uczynionéj konsultacyi, wyrzec, czy w pewnych odcieniach ekonomja moralna wielkiéj stolicy Francyi — w ładzie lub w nieładzie? i jeśli w nieładzie, to wystrzegać się z nią zetknięcia przez naśladowanie.

To com napomknął np. o konkurrencyi już zaczyna się stopniowo wkradać i u nas w handlu. „Sąsiad udekorował sobie pysznie „sklep, i ja swoj udekoruję. Ta fantazya kosztowała go tyle — ja „narażę drugie tyle; — „i wnet do dzieła. Tamten, pierwszy, zalu„dnił swój magazyn mnóstwem cacek, lalek, fraszek—ale smaku nie„ma—za 3 grosze—ja dopiéro pokażę co umiem! Drzyjmy łyka—czas „po temu; wszyscy szaleją za modnemi bzdurstwami—nie dajmy się „wyprzedzić—podwójmy dozę! „I co jarmark Lipski to nowy kontyngiens świcidełek, bagatelek, zabawek sypie się na Warszawę. Dla czego? bo w Paryżu tak. Ale rozumowanie to, przypomina mi bajkę konia i żaby. Pierwszego kuli, a żaba nogę nadstawiła.—Paryż beczka Danajad — miliony weń leją się—miliony wyciekają. Magazyn fraszek *Giroux* przy ulicy *Coq-Héron*, sprzedaje na kolendę w dzień Nowego Roku przeszło za 100,000 franków! ale u nas mój Boże! wszystko w lilipuckich rozmiarach. W Paryżu w dzień nowego roku, przyjaciele, znajomi, nawzajem kolendą się częstują — u nas biletami wizytowemi—u nas nie podarunki, ale *podaruneczki* w dzień imienim kursują;—do artystycznych zabaweczek przystępu niéma, bo zanim do nas dójdą, nabierają wagi złota — a my tylko chleba mamy dowoli—a złota jak wymiotł. Z tych kardynalnych przyczyn, podaruneczki nasze, tchną zwykle ekonomiczną prostotą. Więc pyta-

bez miary, przysięgaj, zaklinaj się bez ustanku — bądź na przemian dobrodusznym żakiem i filutem wymownym. Jeśli złowisz kupującego na gorącym uczynku roztargnienia, przeskocz zręcznie z 1go metra na 3ci — wyprężaj mocno wszelkie

---

nie — czy cacko-handlarze, w dobrą godzinę rozpoczęli swój zawód spekulycyjny? Lękamy się odpowiedzić na to — *negative* — bo jeśli w całym kraju jest tysiąc osób, niech dwa tysiące, które gabinety, buduary czy salony swe ugarnirują temi nowościami zbytku, to może przesadzę, a jak po kolei zaopatrzą się w nie, wszyscy — to co będzie ?.... Stagnacya — a stagnacya ciągnie za sobą—upadłość. W téj materyi, sprawozdanie komornika byłoby mi snadne — możeby już wskazał początek chybienia wypłat, to tu, to owdzie. Daj Boże żeby się tylko na tem skończyło. W Paryżu szał konkurrencyi i pochlebiana widzi-mi-się powszechności, wywoływają na jaw przeszło 30 bankructw na miesiąc: dla takiego magnata jak Paryż, to tyle co nic dla szlachcianki Warszawy, 15a część tego, byłaby klęską publiczną. Oj ostrożnie z naśladowaniem! bo komu się noga pośliźgnie w tych spekulacyach, dla tego mało będzie politowania. Bliźni cudzą biedę, jawnie opłakuje, ale cóś w nim jest co się potajemnie uśmiecha że sam w biedę nie wpadł — a cóż dopiéro współzawodnik w rzemiośle! — Ale chcecie wiedzić w jakim punkcie naśladowanie Paryża jest godne, potrzebne, konieczne? O to w nieporównanéj grzeczności przedającego, względem kupującego; — tego przymiotu właśnie u nas brak. W milionowych magazynach paryzkich przerzucą ci jednę, drugą, dziesiątą półkę dla okazania towaru, nie tylko bez zachmurzenia czoła, ale z uprzejmością pełną gracyi. W Paryżu każdemu odsyłają kupno do domu — w Paryżu posuwają grzeczność do tego stopnia, że przedmiot kupiony możesz odmienić nazajutrz, albo odebrać pieniądz na powrót, jeśli przez noc pożałujesz wyboru. Ale w naszych sklepach, obchodzą się z konsumentem, jak z suplikantem — nie pomnąc, że kupiec to suplikant, a konsument pan.

tkaniny na łokciu — tniéj przed miarą, nie za miarą. Paryżanin nie ujdzie tych krętarstw — a cóż dopiéro cudzoziemiec! Z tym łatwa sprawa — można go zagadać anekdotką brukową i zwędzić mu w oczach sztukę materyi dobrego gatunku, poddając natomiast, złą lub zleżałą.

Takito po większéj części katechizm magazynierski w przybytkach Mody i Zbytku; już przemilczę o tych werlepach przemysłowych, gdzie ci szyld obiecuje pożywienie lub napój, a gdzie chemia idąc w pomoc oszukaństwu, wyrabia ci truciznę.

Subjekt dobrze wytrawny w swém rzemiośle — to kapitał wcielony, i czém więcéj dzięki jego talentom, skarbon pryncypała dobrzeje, tém mu lepiéj, tém mu miléj na świateczku bożym.

Młodzi, namiętni i szalbierze z powinności, subjekci sklepowi będąc narzędziami wskazanéj przez nas taktyki handlowéj, wzrastają w przekonaniu, że wszystkie środki godziwe do złowienia wielkiéj ilości pieniędzy i że kto ich ma — ten *żyje górą* — kto ich nie ma — ten cierpi krwawo. Głos wewnętrzny (a któż go nie ma?) powtarza im jednak, że taki sposób postępowania jest nikczemny — skrycie odpowiadają pogardą i nieprzyjaźnią za udzielone im lekcije, a w końcu kiedy uczucia sczerstwieją, pokryją ironiją cały tryb życia społecznego.

Nie spełna lat sześćdziesiąt temu, wychowaniec handlu paryzkiego, był młodszym synem w rodzinie kupieckiéj gdzie rozpoczynał zawód swój. Drobne smutki, drobne uciechy jego, znachodziły współuczucie w gronie familijném pryncypała—ale dziś kiedy stał się sługą płatnym sklepu, dziś nikt się nie spyta jak się ma — co mu jest? Co on robi za progiem domu — skąd przychodzi — dokąd idzie? Przyjmują go 1go — odprawiają 1go. W wielkich stolicach zachodniéj Europy, między ubóstwem a bogactwem, nie ma żadnego łącznika sympatycznego — stąd ta duma monetarna, ktorą moraliści wytykają wszędzie palcem. Posłuszny duchowi czasu i etykiecie maga-

zynijerskiéj, pryncypał wystrzegać się będzie zbytecznego spoufalenia z swym subjektem, Płaci go — dość mu na tém. A więc, jak z jednéj tak z drugiéj strony, uczucie pogardy zawsze żywe. Pryncypał zna na pamięć swego subjekta, — subjekt, zbadał swego pryncypała już od dawna; - *Robert-Macaire* zna *Bertrand'a* — Bertrand zna Robert-Macair'a i kwita. Między niemi stosunek główny: interes; — filozofja: — machiawelizm kupiecki. Przesiąkły temi obrzydłemi zasadami można więc sobie wyobrazić jak zgubny jak niszczący żywiół zepsucia niosą 50,000 Epikurejczyków 'skalanych taką brudną moralnością! zwłaszcza między klassą proletarną młodych Paryżanek pozbawionych wszelkiéj opieki (*).

Gdyby można było przedsięwziąć po zakątkach Paryża, wycieczki agienta tajnego Prefektury, idąc trop w trop za pojedynczemi członkami tego cechu pełnego nałogów, to niezabrakłoby pewnie dramaturgom materyi do bezczelnych krotochwil—może i do straszliwych dramatów;—ale by to wykonać trzeba zabrać znajomość z *Widokiem*, który będąc przez lat tyle niezmordowanym gończym zbójców i złodziei, ma styczności ze wszelkiemi i stanami i grzesznikami Paryża, i zna wszystkie tajemnice *dobrego miasta* lepiéj od Mifestofila; na to się jednak nie piszemy, mimo wielkiego zamiłowania do prawdy.

Od początku tego artykułu, aż do obecnéj stronnicy, coraz głębiéj niestety schodzimy po skali zła; — zstąpimy teraz jeszcze niżéj — a spotkamy wyrobnika, rzemieślnika, — słowem biedę. Widzieliśmy jak się bestwi — nie spytaliśmy się jak, i ile też cierpi? O! smutna to historija! Posłuchajcie!

(*) Nieubłagane liczby zimnéj statystyki przychodzą nam w pomoc na poparcie naszego twierdzenia, gdyż w liczbie 28,000 nowonarodzonych w Paryżu z roku 1841 liczymy 9,000 dzieci nieznających swych rodziców.

STRASZNY GOŚĆ.

POEMAT LITEWSKI — NA PODANIACH LUDU OSNUTY.



Pod tym tytułem wyszłe dziełko, mieści w sobie poezijé, tłumaczone z polskiego na rossyjski język i kilka oryginalnych, co zdają się być piérwszémi próbami talentu autora — (Von Rotkirch) z nich najlepszy *górny Klasztór* — Na tłumaczenia za to, stanowiące prawdziwą wartość dziełka, zwrócimy uwagę i kilka słów im poświęcimy. — *Straszny gość*, rozpoczynający ten zbiorek, jest to przekład, z przemienionym napisem, najpiękniejszéj części wielkiego podmiotowego poematu, w którym gienjusz piérwszego wieszcza w odrodzoném piśmiennictwie polskiém zabłysnął tak różnobarwistym śpiewem, a zarazem tak potężném słowem. Tłumacz pojął zapewnie jak ważny powziął zamiar, jak przekład powinien być staranny i wyrobiony, żeby choć w części odpowiadał *oryginałowi* i zdaje się, że *con amore* zabrał się do téj pracy. Wszędzie, gdzie żywiół liryczny, cechujący w ogóle *Dziady*, przemaga; gdzie wprost — śpiew, wprost piosnka z serca płynie, przekładowi nic zarzucić nie można. Sama śpiewność języka tłumacza i miarowa metryfikacija nadzwyczaj pomagała mu do podniesienia harmoniją mniéj układnych wierszy, co do budowy wprost mechanicznéj w oryginale. — Porównajmy naprzykład strofę następującéj piosnki naśladowanéj z Schiller'a: —

Najpiękniejsza, jak aniołek z raju,	Diewa prielest', angieł raja
Najpiękniejsza ze wszystkich dziewica —	Krasze wsiech ziemnych krasot,
Oko niebieskie, jako słońce w maju	Wzor twoj, łucz złataho maja
Odstrzelone od modrych wód lica.	Atrażennyj w łonie wod.

W niektórych miejsach jest prawie dosłowny przekład; niekiedy nawet, jakieśmy już powiedzieli, dźwięczniéj i miléj dla ucha oddany obrót dowodzi, że tłumacz lubując się w pięknościach oryginału, starał się przejąć czytelników swoich, wrażeniem, jakie na nim wywarły; co tém widoczniéj spostrzegać się daje, gdyż nieraz napotykamy myśl rozprzestrzenioną słowami jedynie dla tego, żeby ją zakończyć wprost słowem, wprost wyrażeniem i obrotem oryginału. — Prawdziwy przynosi zaszczyt tłumaczowi taka staranność w dokładném oddaniu, jest to poniekąd złożenie wiernéj części gienijuszowi polskiemu. —

Otóż co do piosnki; co do części czysto lirycznéj poematu. —

Bez porównania słabiéj oddana cała część *filozoficzna*, gdzie myśl i zastanowienia walczą ze sobą, nie zaś uniesienie uczucia z serca płynie; gdzie właś ie to uczucie zmienia się tylko w marzenie, w ideę i w rozumowanie nakoniec; gdzie poematyczne cieniowanie myśli przybiera wprawdzie dźwięczną ale poważną, jędrną, treściwą i energiczną formę. Tłumacz tutaj grzeszy nieraz niepotrzebną rozwlekłością, czasem odstępując od mierności w przekładzie, fałszywy tok nadaje myślom tak harmonijnie powiązanym w oryginale. Chcąc znowu, jak w lirycznéj części, wprost wyrażeniem i wyrazem autora zakończyć — poświęca daleko ważniejsze obrobienie szczegołów okresu jedynie dla rymu, nieraz z uszczerbkiem prawideł swojego języka.

Otóż co można słusznie zarzucić przekładowi, który zresztą, o ile z téj części wnosić możemy, jeżeli nie przodkuje, to wcale nie ustępuje przekładom tegoż poematu na języki francuzki, niemiecki, angielski (Cattley'a) i poprzednio na rossyjski.

Zakończa dziełko znowu przekład z polskiego znanéj dramatycznéj fantazji Szatan i Kobiéta p. Kraszewskiego. —

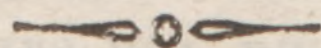
Zalety i uchybienia przekładu prawie też same co poprzedzającego — ale ponieważ sam wybór nie zaleca się szcze-

gólniejszą trafnością i lepiéjby był tłumacz zrobił zająwszy się przekładem innego jakiego utworu tegoż autora, więc nad szczegółami zastanawiać się nie będziemy, oświadczając tylko, że z prawdziwą przyjemnością odczytaliśmy ten zbiorek. Spodziewamy się, że tłumacz, zgłębiwszy jeszcze lepiéj ducha naszego piśmiennictwa i wczytawszy się w jego znamienitości, będzie mógł mu przekładami swojemi miłą przysługę wyświadczyć, — w swojéj zaś literaturze niepospolite zasługi położyć.

Książka ta wyszła z druku w Warszawie, w drukarni Strąbskiego.



KORRESPONDENCIJA.



Lwów, 25 *Grudnia* 1844 *roku*.

Zapewne czytaliście już w pismach czasowych o zamiarze wydania *Pamiętnika* ku czci Jana z Czarnolasu. Słychać, że i u was także jest chęć wytłoczenia zbiorowego pisma, na pamiątkę Józefowi Korzeniowskiemu, którego i tu wszyscy uwielbiają. Nim doniesiecie nam o tém obszerniéj, tymczasem damy wam krótką wiadomość o zamiarach Haliczanów. Wszyscy znakomitsi literaci tutejsi, a mianowicie Aug. Bielowski, J. N. Kamiński, Wincenty Pol, Magnuszewski, Fredro, Chłędowski, Maurycy Dzieduszycki, Dobrzański, Szajnocha, Aleksander Krasicki, Borkowski, Przyłęcki, Podolecki, Batowski, Stadnicki, Żegota Pauli, mają się złożyć na to pismo zbiorowe, które co do wydania, zbliży się do pomnika literac-

kiego jakiem jest Album Guttenberga (*). Wiémy już o kilku artykułach, przeznaczonych do tego zbioru, jako to: Pieśń na cześć Jana Kochanowskiego p. W. P. — Jaki wpływ wywarły proste pieśni Kochanowskiego na poezję nowoczesną? p. A. B. — Wiadomość bibliograficzna o wszystkich dziełach i wydaniach śpiewaka z Czarnolasu. — Szachy Jana Kochanowskiego, p. M. D. — Rodowód Kochanowskich (podobno najmniéj potrzebny) p. A K. i t. d. Nie możemy z pewnością jeszcze donieść o rycinach mających zdobić to arcydzieło drukarstwa polskiego. Dotąd słyszeliśmy tylko o wyobrażeniu puhara z Czarnolasu z cyfrą i herbem Wojskich sandomierskich. Chcieliśmy mieć także rycinę krzesła wynalezionego po Janie Kochanowskim, o którém kiedyś Kuryer Warszawski wspominał. Puhar, o którym donosimy, posiada rodzina Czarnolaskiego piewcy, zamieszkała na Podgórzu. Historija téj ocalonéj pamiątki, skréśloną będzie w Almanachu. *B*

WIADOMOŚCI LITERACKIE.

Postumijusz Prószyński, Referendarz Stanu Królestwa Polskiego, umieszczający swe prace literackie więcéj niż od lat dziesięciu w Tygodniku Petersburskim, w Niezabudce Barszczewskiego (rok piąty, str. 265—270) i w Roczniku literackim Romualda Podbereskiego, (którego wydawanie, w roku zeszłym

(*) Wolelibyśmy doskonałość wartości wewnętrznéj, niż przepych zewnętrzny. *(P. R.)*

przypisał Karol Witte w Gazecie Warszawskiéj, niewłaściwie K. Podwysockiemu), — ogłosił teraz osobno dwa odbitki, a raczéj oddruki. Jeden z nich pod napisem: *Mazury Nadniewskie*, w liczbie dziewięciu (str. 8 w pokroju wielkiéj ósemki), — między któremi *trzeci* podług nas jest najlepszy. Drugi przedruk jest wyjątkiem z ostatnich *Nrów* Tygodnika r. z. *Listu do Wydawcy* (str. 19 w pokroju dwunastki). Głównym celem tego pisemka, jest treściwie skréślona przyszłość *Świstka papierowego*, mającego wylatywać w Wilnie z kosza Spiridijona Wędżegi, na który dopiéro ukazał się Prospekt. Wydawca Tygodnika o tym artykule P. Pruszyńskiego, mówi: „niech on służy za dowód z jaką lekkością, z jakim migocącym dowcipem, szanowny Referendarz włada językiem; jaką massę najróżnorodniejszych myśli umie odziać w przejrzystą, ulotną koronkę stylu, jakiego przykłady dotąd zdaleka tylko podziwialiśmy w Jules Janin'ie, wątpiąc azali nasza twarda, poważna słowiańszczyzna, da się kiedykolwiek wygiąć w podobne formy.“ — Pozwalamy sobie parę zdań P. Prószyńskiego, dotyczących rzeczy spółczesnych i minionych umieścić tutaj: „Ma-li Swistek Wileński pocieszyć nas po dotkliwszéj stracie Józefa Sękowskiego? gdyż u niego trefność i dobrego tonu uszczypliwość, były tylko barwą, podrzędną zaletą pisarza pełnego wiadomości, mocnéj głowy i tęgiego rozumowania. Zamikł on dla nas, a jak łódź co długo po spławnéj rzece toczyła pożywne plony, wypłynął na głębokie i szerokie morze. Zamilkł on dla nas, i długi żal zostawił po sobie. Ale... tu mi przychodzi na myśl artykuł Jules-Janina przy powrocie panny Taglioni z Petersburga do Paryża.—Świetna i ubóstwiana Sylfida, ozuchwalona powszechną adoracją, lekka jak urok, kapryśna jak kobiéta, znudzona dymem uwielbień opuszcza brzegi Sekwany i przelatuje ku północy. Tam wszystko ją bawi i wszystko zachwyca. Śmiga po lodach i szronach, przebiega świątynie z lodu na cześć jéj stawiane; topi się w mgłach północy. Lecz motyla jéj natura, ulega wkrótce brakowi słońca, dreszcz ją

porywa, usta zsiniały, już-jużby zamarła gdyby jéj niewzmógł na chwilę odwrotny polot ku Paryżowi. Szczęściem tyle miała siły, że zziębła i drząca w krótkiéj swéj tunice spuściła się u drzwi Wielkiéj Opery. Tam przez drzwiczki zamknięte słyszy ruch i życie, słyszy całe zamieszanie przygotowań do baletu. Ale drzwi głuche nie otwiérają się dla niéj. Słyszy znak Dyrektora orkiestry, uwerturę baletu Sylfidy, ale drzwi, co dawniéj jak trójnogi Olimpu, same dla niéj stawały na oścież.... stoją nieme i nieubłagane. Dzwonek maszynisty uderza jéj ucho, kortyna się podejmuje. Gurt siedzi już uśpiony w swém krześle a Sylfida musi znaleść się u nóg jego. Przestrach, znużenie, głos jéj odjęły: stuka we drzwi nóżką przemarzłą. Grono wesołych Sylfid słysząc to pukanie, drzwi nareszcie otwiéra i z podziwem ogląda nieznaną towarzyszkę. Ta, cała zmieszana, woła: „siostry moje! czyliż mię nie znacie? ileż razy dzieliłam z wami ucztę niezrównanéj potrawy, słodszéj nad nektar, lepszéj nad ambrozię, ucztę oklasków Paryża. O! ileż razy siostry widziałyście mię na czele waszym?!” Litościwe Sylfidy poznać już jéj nie mogły, lecz widząc ją zziębłą, widząc słabiejącą, tuliły skrzydełkami i zaniosły do komina, co należy do dekoracyi tego baletu. A ztamtąd biédna Taglioni przyglądała się tryumfom rywalek: Fanny Elsler, Lucci Grahn, Cerito i Grisi. Tak i nasze żale po stracie J. Sękowskiego były długie i nieutulone, lecz wróciwszy na scenę, znalazłby może miejsce zajęte przez Spiridiona Wędżegę.“

Wspominając towarzystwo Szubrawców, wydających niegdyś *Wiadomości brukowe*, twierdzi, iż: „Było ich czterdziestu.... było głów czterdzieści, — ale serca?.... niebyło zda się ani jednego.“ — Przeciw tym i podobnym mniemaniom o *Brukowcach*, Józef Przecławski, Wydawca Tygodnika na str. 12 w przypisku, najmocniéj oświadcza się, i wielką zasługę pismu zgasłemu od lat 20, przyznaje.

